

DWUBARWNY WARKOCZ

Tania Malarczuk: *Zapomnienie*. Przełożył
z ukraińskiego Marcin Gaczkowski. Warstwy,
Wrocław 2019, s. 296.

Akcja tej książki toczy się dwutorowo, a ponieważ są to tory polsko-ukraińskie, wiadomo, że w końcu skrzyżują się albo nawet połączą i pobiegą razem, aby chwilę później znów każdy z nich skręcił w swoją stronę. Tym razem nie chodzi mi jednak o rozwidlające się ścieżki wielkich dziejów, lecz o dwa podstawowe wątki *Zapomnienia* Tani Malarczuk (ur. 1984), ukraińskiej prozaiczki, debiutującej na pol-

skim targowisku różności literackich powieścią o pamięci, obłędzie, oddechu, patriotyzmie oraz czasie, zwanym tutaj błękitnym wielorybem.

Fabula osnuta jest wokół dwóch linii, historycznej i współczesnej. Pierwsza rozwija się w okresie, kiedy największymi wrogami spraw „małych” narodów Europy Środkowo-Wschodniej były gruźlica i rosyjskie samodzielnictwo, i dotyczy Wiaczesława (Wacława) Lipińskiego (1882–1931), Polaka, który postanowił być Ukraińcem. W pełni oddanego stworzonej przez siebie idei terytorializmu, która miała stanowić podwaliny państwowości ukraińskiej i nowego patriotyzmu, opartego nie na nacjonalizmie, a na wspólnocie ziemi. Innymi słowy pragnął Lipiński zaprzęgnąć wszystkich mieszkańców dorzecza Dniepru do budowy monarchii na wzór siedemnastowiecznego Hetmanatu. Już na początku XX wieku wiedział to, co my wiemy od Giedroycia, mianowicie, że tylko niezawisła Ukraina gwarantuje pokój w naszym regionie. [Krótkowzroczni patrioci polscy] *marząc o wielkiej Polsce, ignorują dążenia Ukraińców (...) do bycia niepodległymi. Kiedy nadejdzie pora, Ukraińcy wystąpią przeciw Polakom i zaskoczą ich znienacka, bo tacy jak wy, miła panno, bez ustanku perorują, że naród ukraiński nie istnieje*, wyluszczał pewnej krakowiance, pannie Kazimierze, nawiasem mówiąc, jego przyszej żonie. Dodać należy, że na „ołtarzu ojczyzny” nie tylko połamał sobie zęby, lecz złożył na nim całe swoje życie rodzinne i osobiste szczęście.

Wziął rozwód, córka Ewa odwróciła się od niego, co rusz zmieniał miejsca pobytu – mieszkał w Kijowie, Genewie, Krakowie, skąd chętnie uciekał do „Davos” dla ubogich, czyli do Zakopanego, w chutorze pod Humaniami, w Wiedniu i pod Wiedniem – po wielkiej wojnie jego zapal gwałtownie się ostudził, Lipiński zerwał ze współpracownikami, na lewo i prawo strzykał żółcią, a tuż przed śmiercią na austriackiej prowincji zaczął hodować kury. Do końca jednak w napierśnej książeczce prowadził dziennik, dzięki czemu wiadomo, że pozostał wierny swojej koncepcji, wierząc w to, co po latach wysłowi John Kenneth Galbraith, że *[w] polityce niekiedy nastają takie czasy, że trzeba stanąć po właściwej stronie i przegrać*.

Tak, on przegrał. Zmieniały się kulisy, w tle przemaszeraował pochód postaci: Iwan Franko, Jewhen Czykałenko, Mychajło Hruszewski, Pawło Skoropadski, Symon Petlura, Ołeksandr Oleś – a plany Lipińskiego jak się nie ziszczały, tak się nie ziszczały. Umarł na gruźlicę w oto-

czeniu gospośi i swojego sekretarza w 1931 roku. Pamięć o nim z pewnością uległaby zatarcu, gdyby nie wysiłek trzydziestoletniej, nazwijmy ją „Tania”, narratorki *Zapomnienia*. Perypetie Lipińskiego kontrapunktuje ona na wskroś nowoczesną, wielkomięską opowieścią, w której nie brak ani Skype’a, ani BlaBlaCar. Jeśli powieściowe puzzle – książka składa się z nieuporządkowanych chronologicznie dwudziestu jeden rozdziałów – ułożylibyśmy według następstwa czasu, okazałoby się, że część współczesna zaczyna się w 1932 roku, a więc zachowuje ciągłość tkanki fabularnej. Do tego momentu (w dziejach Ukrainy to Hołodomor) sięga zasilona wspomnieniami dziadków pamięć „Tani”.

Jej dziadek Bączyk też hodował kury. Wojnę przeżył, bo był oportunistą, babcia, zanim go poznała, cudem przetrzymała Wielki Głód. Dzięki temu mogła urodzić się ich wnuczka, *potomkini pokory i lęku przed śmiercią*. „Tania”, jaką poznajemy na kartach powieści, to dość egzaltowana chłopczyca o czerwonych włosach, studentka ukrainistyki, która na zajęciach zawsze zajmuje miejsce w ostatniej ławce, miłośniczka baroku i początkująca pisarka o wyjątkowo analitycznej umysłowości, pozwalającej jej łączyć fakty według nieoczywistych kryteriów. Dziewczyna w wieku dwudziestu dwóch lat wyjeżdża do Kijowa, by z mola książkowego przestoczyć się w imprezowiczkę, regularnie zalewającą pałę w stołecznych knajpach.

Jej kłopot polega na tym, że chciałaby przeżyć kilka żyć jednocześnie. Może dlatego często zmienia partnerów – słabość ma do błękitnokich blondynów, co nie jest bez znaczenia, niebiesko-żółta metaforika mówi sama za siebie – prowadzi dziennik i z gorliwością „szczegółary” zagłębia się w historii z przeszłości. Wierzga przeciwko ościeniowi, wyrwa się błękitnemu wielorybowi, pragnie go przewyciężyć i wskrzesić przeszłość. W tym celu sięga po nowatorskie chwyt narracyjne, jak choćby ten, kiedy opisuje fotografię i z chwilą zamknięcia opisu zaczyna animować zastygłe w stop-klatce postaci. Dzięki zabiegowi konfrontacji statyki z dynamiką na naszych oczach ekfraza płynnie przechodzi w film, przez chwilę naprawdę wierzymy, że literatura ma ożywczą moc. Taka iluzja nie udaje się często.

„Tanie” z Lipińskim łączy duchowa więź, mimo że racjonalnych powodów ku temu jest niewiele. Oboje urodzili się 17 kwietnia, on spędził dwa dni w jej mieście (Iwano-Frankiowski), a ona kilka godzin w jego wsi rodzinnej

(Zaturce na Wołyniu). I tyle. Ktoś zapyta, czy to wystarczy, żeby przerzucić most nad przepaścią i stanąć twarzą w twarz z kimś, kogo już nie ma. Zastanawia to także naszą bohaterkę, która w 2013 roku rusza do majątku Lipińskiego, aby dotknąć jego miejsc. Spotyka ją tam wyłącznie rozczarowanie. Grób wielkiego intelektualisty, ambasadora Państwa Ukraińskiego i autora tysięcy listów zaołał traktorzysta za flaszkę samogonu.

Andrzej Bobkowski, w jednej z paryskich kawiarni żegnając się z przyjaciółmi przed wyjazdem do Gwatemali, myślał: *Beznadziejne. Zamiast rozmawiać, byłoby lepiej od razu pisać list do osoby siedzącej naprzeciwko. Przynajmniej czułoby się kontakt*. Do takiego wniosku, jak mi się zdaje, dochodzi też „Tania”. Studiując pisma i stare zdjęcia, nawiązuje z Lipińskim bliższą łączność niż z ludźmi jej współczesnymi, matką, ojcem, partnerami, mężem. W miarę lektury okazuje się, że jej fiksacja ma szersze uzasadnienie. Punktów wspólnych ich biografii znajdujemy więcej. Lipiński poznaje swoją lepszą połowę podczas wykładu na uniwersytecie – „Tania” też. Oboje kłopoty z oddychaniem leczą literaturą, której rytm ma przynieść ukojenie. Oboje są outsiderami ulepionymi z lęków, patosu i hysterii. Oboje doznają załamania nerwowego. Lipiński zamiast ludzi widzi cyklopów, cierpiąca na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne „Tania” panicznie boi się opuszczać mieszkanie. Można zatem pokusić się o tezę, że to ona jest prawdziwą córką Lipińskiego, tą, której on sam nigdy nie poznał.

Na szczególną uwagę zasługuje język powieści. Struktura fabularna, o czym już wspominałem, przypomina warkocz spleciony z dwóch pasm. Podobnie jest z dykcją, a właściwie dykcjami. W części historycznej dominuje ton wzniosły i bogaty w środki wyrazu przepływ zdań, znany na przykład z „ziemiańskich” książek Eustachego Ryłskiego lub dzieł należących do nurtu galicyjskiego (Kuśniewicz, Wittlin, Strykowski). W części współczesnej natomiast styl znacznie się wulgaryzuje, więcej tu dialogów i słownictwa kolokwialnego. Czasem dochodzi jednak do zaskakujących przebitków, styl wysoce przenika z jednego wątku do drugiego niby atrament na drugą stronę kartki.

Malarczuk bardzo zręcznie przeskakuje między tymi rejestrami, tokowi opowieści nadając tym samym dynamizm, dzięki czemu czytelnik zachowuje czujność i z zainteresowaniem mknie przez tekst krokiem, nie przymierzając, tancerza. Nie jest to jednak kazaczok, a jakiś nowy

hopak, płas w takcie parzystym ze zmiennym akcentem, raz na pierwszą, to znów na drugą część taktu. Taka kompozycja katalizuje lekturę i nie pozwala wtargnąć nudzie. To dlatego *Zapomnienie* czyta się duszkiem.

– *Ta książka narobi jeszcze szumu! Lekka i żywa jak bajka. Oto jak należy budzić świadomość narodową u masowego odbiorcy – przystępnym słowem*, mówi Wiktor Domanycki podczas spotkania ukraińskich działaczy narodowych nad Morskim Okiem w 1908 roku. Jego słowa niby dotyczą popularnej *Historii Ukrainy*, którą z zapałem redaguje Wjaczesław, ale można je odczytać również jako porozumiewawcze mrugnięcie okiem do czytelnika. Mówią bowiem nie tylko o dziele Lipińskiego, lecz także o *Zapomnieniu*. Takiej powieści życzyłbym skłóconym Polakom, którzy albo prokurują laurkowe ramoty o Kolbem, albo kpią z narodowej nekrofilii w wielce wyrafinowanych pastiszach. Tani Malarczuk udała się trudna sztuka fuzji. W jednej książce pomieściła opowieść o młodej kobiecie uwikłanej w bolączki codzienności XXI wieku oraz urodzonym w XIX wieku monarchiście z całą jego koturnowością i staroświeckim sposobem bycia. Udowodniła, że po Euromajdanie można tworzyć prozę patriotyczną, nie popadając w prawicową grafomanię. To bardzo cenny głos, wszakże *[m]oże to jednak źle, że rozpada się samo / pojęcie obowiązku wobec ojczyzny?*. Postawa obywatelska, jak widać, nie musi sprowadzać się do marszy przeciwko marzszom.

Kiedy pierwszy raz wziąłem tę książkę do ręki, obwąchałem ją, przewertowałem i przeczytałem kilka stron, szybko zorientowałem się, że chcę poznać całość. Przede wszystkim, przynaję się bez bicia, zadziałała magia nazwiska tłumacza, które samo jest rekomendacją. Znam polszczyznę Marcina Gaczkowskiego, w moim prywatnym katalogu polszczyzn ma ona ustaloną markę. Z blurba zaś wynikało, że powieść traktuje o kimś, kto z pochodzenia był Polakiem, a z wyboru Ukraińcem. „Ha, właśnie takich historii nam teraz potrzeba”, pomyślałem, bo w głowie wciąż przechowywałem wspomnienie pewnego zajścia.

Do bydgoskiej pizzerii Roma weszli dwaj Ukraińcy, jeden o kant stołu rozbił butelkę po piwie i cisnął tulipanem o ścianę, drugi rzucił bluzgiem. Po chwili już ich nie było. W lokalu od razu podniesiono larum: „Ukraińcy!”, „banderowcy!”, „Wołyń!”, „zbrodnia!”, „hańba!”. Ich czyn, oczywiście, zasługuje na potępienie, ale gdyby dopuścili się go Polacy, na przykład sym-

patycy miejscowego klubu Zawisza, nikt nie krzyczałby „Polacy!”, „nacionaliści!”, „zbrodniarze!” itd., tylko „ot, chuligani”, „łobuzy”, „kibole”. Zdałem sobie sprawę, że lont bomby, na której siedzimy, jest bardzo krótki i naprawdę niewiele trzeba, żeby stosunkowo zgodne współżycie zmieniło się w koszmar.

Trzecia przyczyna miała charakter bardziej ezoteryczny. Sam kiedyś przeżywałem fascynację poetą, którego nie mogłem poznać na żywo. Urodził się siedemdziesiąt dwa lata przede mną tego samego dnia miesiąca, spędził dwa dni w moim mieście, ja natomiast wielokrotnie jadłem i piłem pod jego mieszkaniem w Peszcie, nieświadomy, gdzie jestem. Ale tyle wystarczyło, żeby powstał zadzierzg. Ja jednak nigdy nie napisałem o nim powieści...

Walka „Tani” z błękitnym wielorybem zapomnienia, choć heroiczna, skończyła się ostatecznie porażką. Inaczej nie mogła się skończyć. Moby Dick pożarł przeszłość i pożera ją nadal, aczkolwiek dzięki książce, przynajmniej na czas lektury, udaje nam się zawiesić go w czynnościach pełniących obowiązki śmierci.

Miłosz Waligórski

12C